

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

OSTATNIA Z ALDINICH.

(Dalszy ciąg.)

Wiele cierpiałem. Los zdawał się odbierać nam tę resztę sił, która nam pozostała. Mandola niepowracała. Mało znając laguny, zawadziłem pewnego razu łódką o karpe. Wołałem o pomoc dokładałem wszelkiego starania, aby statek poruszyć z miejsca, chciałem po daremnych usiłowaniach przepłynąć przez kanał. Signora wzbroniła mi to, a kiedy jej niechciał być posłusznym, zapomniała o wszystkim i rzuciła się w moje objęcia, mówiąc: „Tak, pozostaniemy tutaj, dalecy od świata i umrzemy w szczęściu i w miłości.”

Signora ucałowała mnie w czoło, wyznała mi swoją miłość, wyznała, iż dla niej odmówiła hrabiemu Lanfranchi i xięciu Montalegri swoją rękę i zapytała mnie na koniec, czy się z nią będę żenił.

Gdyby się ziemia pod moimi otwarła nogami, gdyby się niebo nademną zapadło, nie byłbym tyle zdziwiony, ile z tego zapytania? Długo niewiedziałem, com miał odpowiedzieć, na koniec rzekłem: „Dla czegoż się zemną łączyć, kiedy ja majątku pani niepotrzebuję, aby być szczęśliwym i bez przysięgi przy oltarzu wiecznie panią kochać będę!”

Bianka mówiła długo, aby moje wątpliwości usunąć, a ja przepędziłem u jej nóg resztę nocy. Surowe głosy przebudziły nas z letargu; wstałem i ujrzałem kilka osób pływających naprzeciw nam, którzy mi pomogli poruszyć z miejsca statek, po czem natychmiast zwróciłem go ku pałacowi.

Niemogłem utworzyć sobie dobrego wyobrażenia o mojem położeniu, ale pewien rodzaj instynktu ostrzegał mnie przed żądzą miłości. Moje serce, podzielone było pomiędzy namiętnością i bojaźnią. Cóżbym był nie dał za radę przyjacielską! Ale niewiedziałem, do kogo się udać miałem. Następnego dnia powtórzyła hrabina swoją wolę, i dopóki u niej bawiłem zdawały się jej powody sprawiedliwe; zaledwie się oddał, natychmiast powracały wątpliwości. Rozwahałem położenie moje z wszelich stron, zastanawiałem się nad skutkami; i więcej rozsądek mój w jaśniejszym świetle rzecz widział, tem bardziej uspakajała się walka moich uczuć. Powziąłem mocne postanowienie opuścić hrabinę nazawsze. Kiedy hrabini ten zamiar objawił, usiłowała go ona wprowadzić, ale spostrzegłem zarazem, że i ona zimniej rzecz całą rozebrała, gdyż łatwo dała się namówić, iż dla nas obojga lepiej będzie rozłączyć się na zawsze.

Przeznaczyła mi wieczorną godzinę, aby się bez świadków zemną rozmówić mogła. Łzy spadały z jej liców, kiedy mnie do serca swego przyciskała, ale niewziąłem żadnego innego śladu zwycięstwa z sobą, jak plecionkę z jej pięknych długich włosów. Wychodząc, stanąłem przy łóżku małej Alezii, aby się z nią pożegnać i po raz ostatni ją ujrzeć. Ona się natychmiast przebudziła i zlekła niepoznawszy mnie z początku.

Potem wsiadłem na łódkę i przed świtem dnia stanąłem w Chioggia. Z niecierpliwością biegłem

ku domowi rodzicielskiemu. Mój ojciec znajdował się właśnie na morzu; a najmłodszy z moich braci pilnował domu. Z trudnością go przebudziłem, a on wcale mnie niepoznał. Potem zaprowadził mnie na brzeg morza, gdzie ojciec mój płaszcem okryty i przez bałwany morza kołysany, na łódce smaczny pokrzepiał się snem. Widząc mnie, niezadziwił się wcale, jak gdyby się syna swego od dawna spodziewał.

Pomnę wszystkie koleje losu, przez które z brzegów Chioggia i zatrudnień rybaka, dostałem się na miejsce pierwszego tenorzysty włoskich teatrów. Był to dziełem kilku lat, a sława moja wzrastała prędko, kiedy już pierwszy w tym zawodzie krok uczynił.

W dziesięć lat po mojem oddaleniu z Wenecyi byłem w Neapolu i przedstawiałem w teatrze San Carlo rolę Romea. Król Murat i wspaniały jego sztab jenerałów, z wielu pięknymi damami Neapolu, byli obecni. Obsypywano mnie okłaskami, ale oczy moje spostrzegły w łoży blisko przy scenie twarz zupełnie spokojną i obojętną. Twarz ta była prawdziwie piękną i ujrzałem bezwątpienia najpiękniejszą damę całego teatru. Ale ona, królowa tego wieczoru, zdawała się spostrzegać we mnie błędy, które uchodziły uwadze zwyczajnej publiczności. Ona była muzą teatru, surową Melpomeną z regularną twarzą, wielkimi oczyma, szerokim czołem, długimi włosami. »Znasz pan tę piękną brunetkę z tą zimną twarzą?« zapytałem się w między-akcie hrabiego Nasi. — »Jest to córka czy siostrzenica księcia Grimaldi,« odpowiedział, »ja jej nieznam, gdyż ona właśnie przybyła z klasztoru, a jej matka czy ciotka, nie mieszka w Neapolu. Mogę panu tylko to powiedzieć, że książę Grimaldi ją kocha jak swoją córkę, bogato ją wyposażyła i ona zapewne do najpiękniejszych partyj we Włoszech należeć będzie; mimo to jednakże nie stanie w liczbie konkurentów.« — »Dla czegoż nie?« — »Ma ona być prozną i dumną z swego urodzenia. Mówią, że na przysłą zimę będzie królową balów. Piękność jej ma istotnie być zadziwiająca. Ja tego nie wiem i wiedzieć nie chcę. I księcia Grimaldi znieść niemogę; jest on prawdziwym teatralnym ślabcicem, a gdyby nie miał znacznego majątku i

pięknej żony, niełatwoby się ktokolwiek na nudy konwersacyi z nim naraził.«

W czasie następnego aktu, spoglądałem czasem na łożę księżniczki Grimaldi i patrzałem się na tę młodą damę z obojętnością rzeźbiarza lub malarza i wydawała mi się jeszcze piękniejszą, aniżeli na pierwszy rzut oka. Stary Grimaldi, który teraz siedział przy niej w łoży, miał zimne i surowe rysy twarzy. Rzadko tylko oboje z sobą rozmawiali, a po ukończonej operze, opuścili widownię, nie czekając na balet.

Następnego dnia widziałem księcia z swoją siostrzenicą na tym samym miejscu i w tej samej flegmatycznej postawie, ani razu jednego niespostrzeżłem wzruszenia w ich rysach, nawet książę Grimaldi zasnął w czasie ostatniego aktu. Tymczasem młoda panna zdawała się zwracać całą swoją uwagę na odgrywającą się sztukę. Jej wielkie czarne oczy, wlepione były we mnie, a to badawcze i głębokie spojrzenie, stało się dla mnie tak nieznośnem, że go unikać się starał. Im więcej jednakże myślałem o tem, tem mniej usunąć się zdołałem przed jej oczyma. Były chwile, w których mi się ta twarz marmurowa znajomą wydawała, a potem widziałem znowu w tej niewieściej postaci mego złego ducha.

Druga śpiewaczka (*seconde donna*) bardziej mnie jeszcze rozdrażniła, rzekłszy do mnie pocichu: »Lelio, miej się na ostrożności, widzę bowiem, że cię febra trzęsie.«

»Pan się zakochał w hrabiance Grimaldi,« rzekł do mnie hrabia Nasi po zakończonem przedstawieniu.

Czułem się istotnie słabym. Tejże samej nocy dostałem mocnej febry, a nazajutrz nie mogłem wstać. Cherchina, owa druga śpiewaczka, czuwała przy mojem łóżku i nie opuszczała mnie w ciągu całej słabości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— Przez Londyn i okolice przelatywały jednego z ostatnich dni stycznia, nieprzelezione stada jakiegoś polarnego ptactwa z rodzaju drozdów, ciągnące na południe. Stada tak były liczne, iż przez kilka minut zaciemniały powietrze. Pilni postrze-

gacze pór roku, przepowiadały ztąd długie trwanie i surowość zimy. Kapitan jednego z przybyłych ostatnimi dniami do Cherbourg, okrętów, opowiadał, iż znajdując się na pełnym morzu, widział znaczną jego przestrzeń usłaną ciałami martwych wron i kawek. Gdy tegoż dnia wszystkie tych gatunków ptaki, na wyspie Jersej znikły; wnosić należy, że pusiły się były ztamtąd na południe, ale silna burza ze śniegiem, zbiła je z drogi i zaniósła na pełne morze, gdzie też zginęły.

— W *New Monthly Magazine* czytamy: »Dentysta jeden w Edinburgu, nazwiskiem John Weight, wynalazł ostatnimi czasy sposób robienia rąk mechanicznych, tak doskonałych, iż można za ich pomocą wykonywać ruchy najtrudniejsze. Stawy wielkiego i innych palców, są najdokładniej wyrobione; ręka z równą łatwością włada nożem, grabkami i t. p. Za poćśnięciem pewnej sprężyny, ręka może przewracać karty w książce, temperować pióra i robić wiele innych rzeczy z wielką szybkością. Osoby pozbawione rąk, mniej odtąd żałować będą ich straty; kiedy się zaś wdziewie rękawiczkę na rękę sztuczną, niepodobna po ruchach jej rozpoznać że nie jest naturalną.

CYGANY.

(Przez Puszkina.)

Błdzi gwarliwa cygan gromada
Po bessarańskiej krainie,
Teraz, gdzie rzeka spokojnie płynie,
Zepsuty namiot rozkłada.
Noc im, jak rokosz, ochoczo splywa,
I sen pod niebem spokoju gołym,
A między wozów obszernem kołem,
Które niecałkiem dywan pokrywa,
Palą się ognie w rodzinnem gronie;
Każdy się krząta koło wieczerzy;
W rozległym błoni p są się konie,
Niedźwiedz w obozach swobodnie leży.
W pośrodku stepów we wszystkim życie:
Spokojne rodzinne starania,
Gotowych z rankiem w pobliską drogę,
I pieśni kobiet, dzieci wotania,
Dźwięczne drożnego kowadła bicie.

Ot na wędrownych obóz towarzyszy,
Senne zstępuje milczenie,
I tylko słysząc w stepowej ciszy
I pów szczebanie i koni rzenie.
Ogień już w każdym miejscu zgaszony;
Wszystko spokojne, z niebios sklepienia,
Samotny wieżyc błysk w te strony,
Srebrząc obozu ciche schronienia.
Jeden staruszek tylko niespoczywa.
Siadł przed węglami na dróznym stole,
Ostatni żar ich zwolna rozgrzewa;
I długo patrzy w odległe pole,
Tuman je nocny okrywa.
Młodzianka córka, jedyne dziecko,
Po pustych polach igrając znikła.
Ona swawoli rzeźwe nawykła,
Wroci; lecz już noc: ucichło życie
I już niedługo wieżyc odbieży,
Niebios dalekich błękit przyćmiony;
Zemfiry niema, dawno złożony
Stygnie zasiłek lichej wieczerzy.

Lecz otóż ona. W ślad jej zdyszany
Spieszny młodzieniec rzeźwego lica,
I cyganowi całkiem nieznanym.
»Ojcie mój,« rzeknie dziewica,
»Prowadź gościa: tam, za kurchanem,
Przelegał błędny dzikie pustynie,
Prosiłam: w naszej zaśnie dolinie.
On chce być tak jak i my, cyganem;
Seiga go prawa wciąż wyrok mściwy.
Lecz przyjaciółkę we mnie mieć będzie,
Zwiąż go Aléko, jest mi życzliwy,
I gotów za mną udać się wszędzie.«

STARZEC.

Cieszę się. Zostań do rannej zorzy,
W naszym obozie niech cię sen zmorzy,
Albo, zależy to od twej woli,
Zostań i dłużej — na całe życie,
Podzielę z tobą chleb i pokrycie.
Bądź nasz, przywyknij do naszej doli;
Błądzącej nędzy i pełnej woli;
A jutro, jeszcze w poranek ciemny
W jedynymże wozie razem pojedziem;
Pracuj; o! trud nasz bardzo przyjemny:

Spiewaj, żelazo kuj, lub do koła
Obchódz swobodny wioski z niedźwiedziem.

A L E K O.

U was zostanę.

Z E M F I R A.

On moim będzie:

Któż go odemnie oderwać zdoła?
Lecz późno... mgła już osiadła wszędzie,
Zaszedł już księżyc, zgasł blask zorzy,
I sen mię zwolna niechętną morzy.

Już widno. Starzec w milczeniu brodzi,
W koło niemego tabora,
Wstawaj Zemfira, słońce wschodzi,
Zbudź się, mój gościu, pora, już pora!
Porzućcie, dzieci, łóża domowe,
I wnet się naród wysypał z szumem,
Zdjęte namioty, a wozy tłumem
Puścić się w drogę gotowe;
I wszystko razem z miejsca ruszyło:
Wali przez puste tłuszcza okolice,
Osły zwieszono noszą koszyki,
I dzieci w nich się bawiące miło!
Mężowie, bracia, żony, dziewice,
Stary i młody pośpiesza razem;
Cygańskie pieśni, i szmer, i krzyki,
Przerażające niedźwi-dzia ryki,
I niecierpliwe kajdan brząkanie,
Pstroczina jasnych łachmanów,
Dzieci i starych nagość cyganów,
Głośnie psów wycie i psów szczekanie,
Słychać dźwięk kobzy, skrzypią wozy dróżne,
Wszystko niezgodnie, dziko, niebogato;
Ale tak żywo — niespokójcie za to,
Od martwej naszej wygody tak różne,
Tak od chwil pustych różna dola dzika,
Chwil jednostajnych jak piosnka rolnika.

Żałośnie młodzian patrzył w tej dobie,
Na opustoszałe równiny;
Ale tajemnej smutku przyczyny
Niemiał odwagi tłómaczyć sobie.
Zemfira razem z nim czarnooka,
Teraz swobodny na świecie żyje,
Słońce odżyło nad nim z wysoka,
Żarem południa nieraz połyśnie;

Czemuż ze drzeniem serce mu bije?
Jakaż to troska duszę mu ciśnie?

Ptaszek Boży niezna wcale,
Ani troski, ani znoju,
Nie zwija śród niepokoju;
Gniazda wiszącego trwale,
W długą noc drzymie niedbale;
Wznijdzie słońce okazałe,
Zrywa się ptaszek z drzewa,
I posłuszny twórcy spiewa.
Za wiosną, blaskiem natury,
Znojne przejdzie lato,
I mgłę i dżdyste chmury
Późna jesień niesie zato:
Ludziom tęskno, człek strapiiony;
Ptaszek doł-ko radosny,
Precz za morze, w ciepłe strony
Ulatuje do wiosny.

Podobnie jak ptak o nie niemarkotny,
I on, wygnaniec przelotny
Pewnego nieznał przytulku wcale,
I do niczego nie nawykł stale.
Jednaka wszędzie była mu droga,
Jednakie nocy, zaciśze wszędzie;
Ockniony nie już nie miał na względzie,
Dzień cały zdając na wolę Boga.
Żadna obawa ziemskiego znoju,
Niemogła zmieszać serca pokoju.
Czasem go blaskiem uroczej sławy
Łudziła gwiazda odległa,
Niespodziewane czasem zabawy,
I rokosz czasem nadbiegła;
I nad młodziana głową samotna
Groźna nierzadko gromy huczały;
Ale on w burzę piorunną, słotną,
I w dzień pogodny drzymał niedbały.
Żył, nieprzynajac władnącej siły,
Wyrokom ślepy, błędnym, fałszywym;
Lecz namiętności jakże rządziły,
Boże, umysłem posłusznym, żywym!
Jakimże się to tłumem burzyły
W znużonej piersi niejedną chwilką!
Dawnoż, na długoż żar swój stłumiły?
Zbudzą się zbudzą: poczekaj tylko.

(Dokończenie nastąpi.)